Rok 1901. Lwów, 13. Października Nr. 39.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ 1/2
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE“ po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego“ po 2 korony od 100 egzempl.

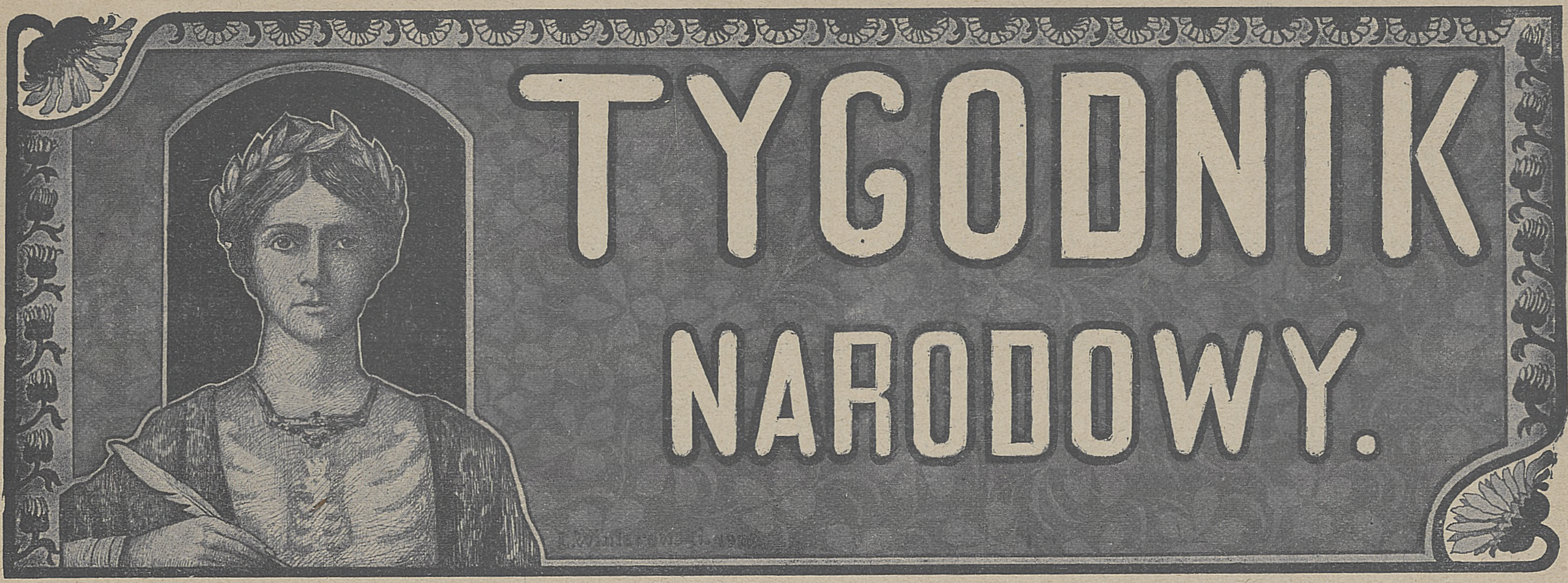
Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

drukarni „Dziennika Polskiego“, ul. Cicha 5.

Rok 1901. Lwów, 13. października Nr 39.



Redaktor : Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11, Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 39.

Po dwóch latach wojny.

Za niespełna tydzień miną dwa lata od rozpoczęcia wojny południowo-afrykańskiej. Brzmiało to wówczas jak paradoks, kiedy obeznani ze stosunkami i uwzględniający w swoich obliczeniach nietylko siłę zbrojną obu stron, lecz także stosunki terytoryalne i klimatyczne, oraz takie imponderabilia, jak siły moralne Boerów, ich zapał patryotyczny i nienawiść do Anglii, przepowiadali, że nie łatwo będzie W. Brytanii zniewolić maleńki naród chłopów holenderskich, że walka będzie długa, ciężka i połączona z ogromnemi ofiarami.

Okazało się, że trudności są jeszcze daleko większe, niż przewidywali najbystrzejsi. Po dwóch już prawie latach walki, która kosztowała Anglię miliardy i dziesiątki tysięcy ludzi, Boerowie stawiają jeszcze energiczny opór i spoglądają w przyszłość z ufnością wcale niemniejszą, niż na początku wojny. Dzięki strategice lorda Robertsa, wojska angielskie wkroczyły wprawdzie do republik boerskich i zajęły je; ale niepodobna było dotąd obezwładnić zupełnie nieprzyjaciela, zapobiedz ponownemu koncentrowaniu się rozbitych i rozproszonych oddziałów, a we własnych koloniach powstał Anglikom nowy nieprzyjaciel, niemniej ruchliwy i niemniej nieuchwytny, niż obywatele zawojowanych formalnie republik. Próżno dowódcy angielscy chwytali się rozpaczliwych środków, aby stłumić ostatecznie wszelki opór i zakończyć rozpoczętą lekkomyślnie wojnę. Nie zdało się na nic wyławianie Boerów i wysyłanie na odległe wyspy, ani więzienie rodzin boerskich w odosobnionych obozach; nie pomogły konfiskaty mienia walczących, ani surowe wyroki na powstańców kaplandzkich. Im więcej nawet rozgoryczeni oporem Anglicy posuwają się do okrucieństw, im straszniejszy charakter przybiera wojna, tem większy zapał zdaje się ogarniać Boerów i ich rodaków kaplandzkich, tem więcej wzmaga się opór i tem skuteczniejszym się staje.

Zapewne Boerowie łudzą się w przekonaniu, że wyjdą zwycięsko z rozpaczliwej walki. Anglia, rozpocząwszy tę wojnę, nie może skończyć jej inaczej, jak zupełnem zwycięstwem, musi w obronie swego honoru wysyłać do Afryki coraz nowe armie, wyznaczać coraz nowe miliony na wojnę, i przy tej wytrwałości kiedyś stanie u celu; ale można dziś twierdzić stanowczo, że nie rozpoczynałaby tej wojny, gdyby ministrowie jej zdawali byli sobie przed dwoma laty sprawę z trudności, z jakiemi będzie połączone zdobycie republik południowo-afrykańskich.

Pod jednym tylko względem nie sprawdziły się wcale przewidywania pesymistyczne dla Anglii. Mniemano powszechnie, że ciężkie klęski w pierwszem stadyum wojny, a następnie bezowocność usiłowań angielskich, aby stłumić opór Boerów, oddziała bardzo niekorzystnie na stanowisko międzynarodowe W. Brytanii, osłabi jej powagę i zachęci przeciwników do wyzyskania wojny afrykańskiej w celach politycznych. Mianowicie wydawało się prawdopodobne, że Francya, przekonawszy się o stanie wojsk lądowych angielskich, zechce pomścić się za Faszodę i poruszy na nowo sprawę egipską, a W. Brytania nie będzie zdolna do oporu i utrzymania swego stanowiska w ziemi Faraonów. Przypuszczenia te były mylne, zapewne dlatego, że zawodowe koła wojskowe oceniają wcale inaczej działalność armii angielskiej w Afryce, niż szersza publiczność, która widzi tylko klęski i niemożność odniesienia zwycięstwa, a nie zdaje sobie sprawy z trudności, które mają do zwalczenia Anglicy, ani też nie może przekonać się, o ile słuszne jest twierdzenie, że armia lądowa W. Brytanii jest zacofana, niewyszkolona, niezdolna do wielkiej akcyi. Z drugiej zaś strony niepowodzenia na lądzie nie osłabiły wiarę w potęgę morską Anglii, a surowa i wcale niepochlebna samokrytyka, jakkolwiek robi w kołach szerokich ujemne wrażenie, może utwierdzić tylko zawodowców wojskowych w przekonaniu, że Anglia byłaby straszliwym przeciwnikiem na oceanach i walka z nią na morzu mogłaby mieć wcale inny przebieg, niż wojna lądowa z Boerami.

Tak więc, wbrew pesymistycznym prognostykom, wojna afrykańska nie naraziła Anglii na żadne trudności polityczne, nie pozbawiła jej poważnego stanowiska w stosunkach wszechświatowych, nie osłabiła jej powagi i wpływów. Jest ona tylko kosztownym i bardzo bolesnym epizodem w jej historyi, ale zresztą błąd popełniony następstw ujemnych nie ma.

Edmund Kolbuszowski.

Z wierzeń ludowych.

III. Ruta.

(Ciąg dalszy).

Na zimę przykrywały dziewczęta rutę w ogrodzie garnkiem, a za nadejściem mrozów obsypywały ją śniegiem i w ten sposób zachowywały ją dla siebie świeżą, aby i w zimie mogły na wesela lub do kościoła choć jednem „kaliwkiem“ (źdźbło) ruty przyozdobić swe bujne warkocze. Pruski [1]) wspomina, że widział kilka razy to chowanie ruty na zimę na Podlasiu i Mazowszu, świadczą też o tem pieśni z nad Wisły, Dniestru i Dniepru.

Ruska dziewoja nuci:

Rutku siju, rutku siju, rutku pidływaju,
Rosty rutko zełeneńka, na zymu schowaju.

a o dziewczynie, która zapomniała lub nie mogła zachować ruty na zimę, śpiewają nad Berezyną:

Zażuryła sia Agatka
Szczo rano zimeczka nastała
Sniežkom ruteczka prypała
Nieta z czoho maładzie wianka wić
Dy na hołowku nałożyć.

Ze starych broszur widzimy, że dziewice z kwiatów, które pielęgnowały, wiły

[1]) Pruski. Obchody weselne.

sobie wieńce na święta i do ślubu. Każda dziewica nosiła wieniec nietylko dla ozdoby, ale stroiła także weń swe czoło z dumą, że go nosić może, że najpiękniejsza ozdoba panieńskiej krasy, niewinność, -- u niej bez skazy. Pielęgnowały też dziewczęta troskliwie po swych ogródkach kwiaty potrzebne na wieńce. W Krakowskiem wiejskie dziewczęta hodują po ogródkach rutę, barwinek, szałwię, lewandę, miętę, józefek, piołunek, a niekiedy i macierzankę, a w XVI wieku sadziły panny rozmaryn, rutę, lewandę, szpikandę, cyprys i mirt [1]. Mirt też wyrugował w części rutę ze szlacheckich dworków, tak że obecnie ruta tylko u ludu jako ozdoba weselna służy i wiejskie dziewczęta najtroskliwiej ją pielęgnują.

O rucianym ogródku i sadzie dziewczyny znajdujemy wzmiankę w wielu pieśniach. W jednej z pieśni litewskich słyszymy: „rżą koniki przy rucianym sadzie“, w innej prosi dziewczę lubego, aby nie puszczał konia do jej rucianego ogródka:

A ty Jasieńku bałamucie,
Nie paś konika w mojej rucie,
Bo twój koniczek z podkowami
Wydrze rutéńkę z korzeniami
Moja rutéńka nie ku temu
Każde kaliwko po złotemu.
Moja rutéńka drobne ziele
Trzeba wianuszka na wesele.

Litewska pieśń opowiada:

Karmił brat konia przez całą jesień
I wyjechał brat przez równe pole
I przywiązał konika przy rucianym ogródku,
Idzie dziewczyna dziedzińcem, zielone ruty
[odwiedzić [2]).

Idzie więc dziewczyna do ogródka, gdzie jak ukraińskie i mazowieckie pieśni mówią: „sadzi się zielona rutka we trzy rzędy“, odwiedzić zieloną rutę, swój kwiat ulubiony, wonny i cenny, tak, że każde kaliwko złotego kosztuje. Ogólne używanie ruty na wieńce przez dziewice sprawiło, iż ruta weszła nawet w przysłowie, i siać rutkę znaczy być na wydaniu, a o starej pannie wyrażano się, że „podsiała sobie rutki“. Stara broszura z XVII wieku mówi: „druga nieboga choć grzeczna rutkę musi siać, że posagu nie masz [3]“). Jakby odzwierciedlenie wieku XX. Świat pod tym względem nie postąpił widocznie, kiedy i w XX wieku panny, choć ładne lecz biedne, tak samo jak w XVII rutkę siać muszą.

Umiały też dziewice czarować rutą miłych sobie chłopców, gdyż według dawnej wiary ma ona wielki związek z miłością i nią przymusić można niechętnego do gorącej miłości. Jako dowód służyć może piosnka, dziś jeszcze na Rusi śpiewana:

Oj ja ruty ne sijała, sama ruta wschodyt [4])
Kozakam ne czarowała, sam do mene chodyt.

i to, że według przekonania ludu dzieci w rucie kąpane szczęśliwemi w miłości być mają. Własność ta ruty dodaje też wiele dziewicom otuchy, że choć jaki kochanek niewiernym się stanie, ona rutą innych zwabić może, dlatego też przyśpiewuje dziewczyna swej przez niewiernego kochanka porzuconej towarzyszce:

Ne żury sia diwczyneńko, ruto zełeneńka
Sej pokyne, druhyj bude, szcze ty moło［deńka.

[2]) Ludwik Pokiewa (ks. Jucewicz). Litwa.
[3]) Gorżka wolność młodzieńska.
[4]) Żegota Pauli. Pieśni ludu galic.

Lecz nie wiekować dziewczynie w jej dziewiczym stanie, choć u matki i dobrze i miło, boć to matka rodzona, co i przytuli do siebie i przyskarbi i przyhołubi, toć inne przecież jest przeznaczenie dziewicy i jej serce tęskni za czemś nieznanem, czemś nieokreślonem, pragnie miłości, jej czarów i złudzeń. Mimowoli też wyrywa się z ust dziewczyny tęskna śpiewka:

Zełena ruta ćwit
Nyma kawalira dowho nit!
Pysałabym, łyst ne umiju,
Pisłałabym witcia — ne śmiju,
Piszłabym sama — boju sia
Szerokij hostynec mynusia [5])

bo pragnie mieć kogoś, któryby poczuł żywsze bicie jej serca, kogoś, ktoby odpowiedział na uścisk uściskiem, całus całusem, miłość miłością, pragnie dla tego, że wie, iż to jej już takie przeznaczenie żyć otoczoną opieką mężczyzny, bo:

Zielona ruta, żółty kwiat,
Każdej dziewczynie trzeba w świat.

Wreszcie znalazła takiego, który na miłość jej równie gorącem odpowiedział uczuciem, któremu ona zaufawszy, chce wsparta jego miłością, wieść z nim wspólnie dalsze życie, iść z nim ręka w rękę w odległe starości lata. Zbliżają się chwile wesela i ślubu, kiedy już z miłym na wieki złączona oddaną mu zostanie, aby z nim pędzić swe lata. Już kapłan ogłosił publicznie jej zamiar porzucenia dziewiczego stanu, czas już niedługi dzieli ją od ślubu, korzysta też z ostatków swojej wolności, stroi się jeszcze w wieńce i kwiaty. Na Ukrainie narzeczona, kniahynią zwana, chodzi od zrękowin do ślubu w wielką ilość kwiatów przystrojona, bo to jej ostatki, że może jeszcze swą główkę w lube jej przystroić kwiaty, bo potem nie czas i nie pora, bo potem może jej wesołe dziewicze czoło chmury smutku zasłonią, bo pozna troski i dolegliwości życia, jakich dotąd przy boku swej matki, wesoła, niezależna, wcale nie zaznała. To najważniejsza pora w jej życiu, tu ona jakby na rozdrożu, za sobą porzuca swą dziewczą swobodę, rodziców i wszystko, z czem się żyła i wychowała, przed nią przyszłe trudy życia w obcej rodzinie, jest więc nad czem i tęskno i głęboko westchnąć, nad czem się namyślić. Więc choć chce złączyć się już na zawsze z swym miłym, żal jej zawsze jeszcze dziewiczej swej krasy i wolności, dziewczęcych przyjemności, dreszczem i obawą przejmuje ją nieznana, niewiadomo w ciernie czy róże bogata przyszłość i dlatego plotąc dla siebie weselny wieniec nuci rozżalona:

Kiedy siałam rutę wesołą byłam,
A kiedy pełłam jeszcze weselsza,
Zasmuciłam się zrywając,
Gorzko płakałam, splatając.

W wilję jej ślubu towarzyszki jej dziewczęcych zabaw i marzeń, schodzą się do niej „wieczorem dziewiczym“, przez lud nazwanym, aby swej, porzucającej już ich koło towarzyszce, uwić ostatni wianek, który przystroi czoło jej do ślubu, a potem pójdzie w zapomnienie, bo z dziewicy już będzie mężatka, bo miejsce wieńca czepiec zajmie. Dziewczęta zebrane w chacie wiją wieniec z ruty, rozmarynu lub barwinku, robotą przeplatana śpiewami, od których aż odbrzmiewa chata:

[5]) Wacław z Oleska. Pieśni ludu galic.

Wiła Kasieńka wianecek
Z drobnej ruteńki serdecek,
A wiła go z dwiema druchnami.
Jedna równianki równała
Druga wianecek wijała [1])

śpiewa urocze dziewczę mazowieckie, a Wołynianki nucą na rzewną nutę:

Pliła Marysia winoczok
Z jaroi ruty kwitoczok [6])

W województwie podlaskiem w dziewiczy wieczór druchny zbierają się do panny młodej, zaścielają stół białym obrusem, a gdy staną wokrąg niego, wtedy panna młoda wynosi w fartuszku lub na talerzu zieloną rutę, rozsypuje ją po obrusie, a dziewczęta zaczynają smętnej melodyi piesenkę:

Rozsypała Kasieńka
Drobną rutеńkę po stole,
Dy po stole cisowym,
Po obrusie bielowym.
Któż tę rutеńkę pozbiera
Kasieńce wianek uwić ma?
Rutеńka moja drobna, zielona,
We trzy rzędy sadzona.
Ojczeńko rutki nie zbiera
Bo w niej nadzieję małą ma [6]).

Toż samo „mateńka, braciszek, siostrzyczka“ ruty zaś zbierają, tylko:

Jasieńko rutę pozbiera,
Bo w niej nadzieję całą ma.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. K. HERTZ.

Pogadanka naukowa

ŻYWE ŚWIATŁO.

(Owady i robaki świecące.— Świecenie się morza.— Bakterye świecące. — Światło chłodne).

Dokończenie).

Asbjörnsen odkrył w fiordzie Hardanger gwiazdę morską w głębokości 1.500 metrów, której tarcza i ramiona świeciły nieopisanym blaskiem. Nazwał on ją b r i s i n g ą, chcąc przez to zaznaczyć, że ona ma blask klejnotu, który według mitologii skandynawskiej, bogini Freja nosiła na piersiach.

W niektórych miejscach dno moskie pokryte jest tysiącami takich gwiazd. Niektóre raczki wydzielają substancye, świecące blaskiem szmaragdowym lub lazurowym. Podczas ekspedycyi Challengeo, z głębi morskiej, wynoszącej 2.000 metrów wydobyto pióra morskie, które przez długi jeszcze czas świeciły światłem jasno-fioletowem, podobnem do płomienia cyanowodoru. Sądząc z liczby zwierzątek, wydobytych za jednym połowem, należy wnosić, że okręt przepłynął przez olbrzymi ławy takich polipów. Gdy podczas wyprawy Travailleura, wydobyto nocą, z wielkiej głębi morskiej gorgonidy o formie drzewek, te wydały taki silny blask, że wobec niego światło dwudziestu lamp, oświetlających pokład, wydawało się bladem. We wszystkich częściach ciał tych zwierzątek, wystrzelały i gasły, naprzemian, snopy ogni-

[6]) Stecki. Opis Wołynia.

ste, kolor ich bezustannie się mienił: od fioletowego do purpurowego, od czerwonego do pomarańczowego, od niebieskiego do jasno-zielonego. Cała pracownia zoologiczna na okręcie, której długość wynosiła sześć metrów, była tym blaskiem tak silnie oświetlona, że można było z taką samą łatwością czytać drobny nawet druk, jak w najbardziej słoneczny dzień. Byłoby zbytecznem podawać więcej jeszcze przykładów wytwarzania światła przez istoty żywe i to na różnych szczeblach rozwoju stojące. Schodząc coraz niżej w hierarchii zwierzęcej, napotykamy i bakterye świecące. Niezmiernie liczne gatunki tych drobno-ustrojów, stojące pomiędzy zwierzętami a roślinami, są — jak wiadomo — dla różnych gałęzi przemysłu już to użyteczne, już też szkodliwe. W ostatnich czasach odkryto, że są bakterye, wytwarzające światło i nazwano je fotobakteryami.

Podczas ostatniej wystawy paryzkiej, w jednej z sal pałacu optyki, prof. uniwersytetu lyońskiego R. Dubois wystawił tak nazwane cuda światła żywego. Ściany i sufit tej sali wyłożone były flaszkami płaskiemi, napełnionymi jakimś mętnym płynem, który wydawał blask tak silny, że w dość obszernej sali z wielką łatwością czytać można było drobny nawet druk. Płyn ten zawierał bakterye, które Dubois wyhodował w celu korzystania z wytwarzanego przez nie światła. Fotobakterye już przed pięcioma laty były przedmiotem specyalnych poszukiwań prof Dubois. W swoich odczytach uczony ten wykazał, że światło wytwarzane przez te drobnoustroje, jest najlepszem i najbardziej ekonomicznem, gdyż w niem znajduje się bardzo mało tylko promieni cieplnych i dlatego jest zbawienne dfa oka. Promieni chemicznych w tem świetle jest również bardzo mało, gdyż działanie jego na płytę fotograficzną jest niezmiernie słabe, zato posiada ono w wysokim stopniu własność przenikania ciał nieprzeźroczystych, nie przechodzi jednak przez blaszki glinu, chociażby te były jak najcieńsze. Już przed pięćdziesięcioma laty, kiedy jeszcze nie wiedziano o istnieniu bakteryj przygotowywano już flaszki świecące, podobne do tych, któremi Dubois wytapetował ściany sali wystawy. Dziś wiemy, że twórcami tego światła zimnego są szczególnego rodzaju organizmy zwierzęce. Odkryto fotobakterye na łuskach ryb morskich, które pływając na powierzchni wód, wydają światło. Przekonano się bowiem, że to światło nie jest wynikiem procesu gnicia ciała ryb, lecz jest wytworem licznych bakteryj, pokrywających martwe te ciała. Dla otrzymania jednak tych bakteryj nie potrzeba udawać się aż do morza, gdzie takowe znajdują się na ciałach śledzi, i innych ryb, gdyż prof. Dubois podał sposób hodowania fotobakteryj. Przy tej hodowli chodzi przeważnie o otrzymanie płynu takiego składu, by drobnoustroje, którym służy za pokarm, wytwarzały światło największego natężenia i najdłuższej trwałości. Przy odpowiedniej hodowli, otrzymujemy bardzo szybko płyn świecący. Do kultury fotobakteryj służy płyn, składający się z czystej wody — do której dodaje się około 3 prc. wody morskiej — i z trzech innych ciał, od których wyboru zależy pomyślny skutek. Używając do płynu spożywczego peptonów, otrzymujemy wprawdzie dobre rezultaty, lecz ponieważ ciała te mają własność przyciągania z powietrza bakteryj, wywołujących gnicie, przyczem wywiązują się siarkowedory i inne związki siarki, zatem płyn taki po pewnym czasie zaczyna wydawać woń nieznośną i wkrótce traci własność świecenia się. Dubois przy swoich doświadczeniach używał asparaginy, alkaliodu znajdującego się w szparagach. Oprócz tego, płyn spożywczy musi też zawierać fosfor, w postaci fosforanu potasu lub też nukleiny. Co więcej, płyn użyty musi być odpowiednio przewietrzany, co się najlepiej uskutecznia przepuszczając przezeń pęcherzyki powietrza, z którego poprzednio usunięto bakterye gnicia przez sterylizacyę. Długość czasu, przez który trwa świecenie się płynu, jest rozmaitą, stosownie do natury płynu, do kultury użytego dostępu powietrza, temperatury i czystości samej kultury. Dubois otrzymywał płyny, które świeciły przez pół roku. Czy światło to znajdzie kiedyś zastosowanie praktyczne? Czy fotobakterye odgrywać będą przy wydobywaniu światła taką samą rolę, co inne drobnoustroje w fabrykacyi piwa? Są to pytania, na które trudno teraz dać zadawalającą odpowiedź. Jeżeli przypomnimy sobie początek elektryczności i wyniki do których doszliśmy, to mimowoli zgodzimy się z mniemaniem prof. Dubois, że światło zimne, czyli płynne światło księżycowe, ma przed sobą przyszłość i że nadejdzie czas, kiedy wytwórcami światła przyszłości będą mikroorganizmy.

Tadeusz Ulanowski.

MILA.

(Dokończenie).

— Służyć? Boże drogi, chyba pani żartuje, kochana panno Emilio? Życie pani nazwaćby należało szeregiem dobrodziejstw, które kochana pani wyświadcza naszym dzieciom. Ach, wie pani, życzę pani, naturalnie, ażebyś dostała pięknego i bogatego człowieka za męża, ale gdyby to było możliwem, powiedziałabym: nie zajmuj się nauką własnych dzieci. Ile to strapień, ile zawodów, goryczy... ach...

— A o co właściwie chodzi, proszę pani?

— Właśnie mówiłam, że przyszłam udać się do twego serduszka i rozumu, kochana panno Emilio?

— Czy sprawa dotyczy Heluni?

— Niestety, tak. Kochana pani zna to dziwne, nie chwaląc się, dziecko. Nie przesadzę, jeżeli powiem, że ja, ja sama tej dziewczyny nie znam. A pani ma taki wpływ na nią. Ja nic nie mogę, a tyle mam środków po temu. Ach, to dziecko mogłoby się wykąpać w morzu łez, które z jego powodu już wylałam. Kobiety w moim wieku wychodzą jeszcze za mąż, starają się o to usilnie, ale ja powiedziałam sobie, zostawszy wdową, że przestałam być kobietą, przynajmniej pod pewnym względem, i niepodzielnie oddałam się Heluni. Więc...

— Czy znowu dwójki? — zapytała Mila.

— Niestety, tak, kochana pani. Dwójki, i to coraz częstsze, a ona powinna mieć same piątki.

Mili, gdy to usłyszała, przyszła dziwna myśl do głowy i podniesionym głosem rzekła, oglądając się na pokój brata:

— Proszę pani, teraz piątki nie w modzie, ludzie śmieją się z tego.

— Ach, dobrze pani żartować, ale ja panią kochaną znam: pani wie, że tylko głupcy mogą się śmiać z wzorowych stopni.

Mila uśmiechnęła się i zaparła dech w piersiach, czy nie usłyszy jakiego szmeru w sąsiednim pokoju. Po chwili rzekła poważnie:

— Więc chodzi o wyratowanie promocyi, a to już Wielkanoc za pasem, *periculum in mora*.

— Jak pani to określa? — spytała skwapliwie dama.

— Mówię poprostu, że należy rachunek przyspieszyć...

Z pokoiku doszedł stłumiony śmiech, aż się gość obejrzał. Mila drgnęła, będąc pewną, że Antek jej łacinę wyśmiewa. Spiesznie wstała z kufra i zamknęła drzwi dość ostro.

— Ach, czy ja aby moją gadaniną nie przeszkadzam tam komu?

— Nie, nikomu pani tam nie przeszkadza.

Umówiwszy się o lekcyę, dama zarzuciła całą rodzinę pochlebstwami, a ojca Mili upewniła, że oczy jego miałyby o tyle wartość, o ile by niemi na córkę mógł patrzeć, gdyż świat wogóle nie wart oglądania i że, kto wie, czy nie lepiej jest wielu rzeczy i ludzi zupełnie nie widzieć.

Na to Mila odrzekła:

— O, ma pani zupełną słuszność.

Po odejściu damy Mila przez parę minut wyglądała oknem, wsłuchując się w klekot maszyny.

— Więc ja nie mam prawa powiedzieć *periculum in mora*? Nie, to się tylko temu cymbałowi tak zdaje.

Zacisnęła zęby i uczuła łzy. — Obejrzała się na ojca: wypadkiem patrzył na nią, gdyż zakrywała mu okno, które jak jak plamę mętną, mógł widzieć.

— On Antka więcej kocha odemnie — pomyślała z żalem.

— Bo nie widzi — dodała w myśli. — Spojrzała na swój stolik i dostrzegła czyjąś portmonetkę.

— Ach, ta pani zostawiła pieniądze. Antek, Antek! chodź no prędzej. — Drzwi otworzyły się szybko i Antek pokazał głowę.

— Czego sobie życzysz?

— Mój drogi, zbiegnij za tą panią co tu była; poszła z bramy na lewo: oddaj jej tę portmonetkę...

— Daj.

— Albo nie, nie, ja sama... już nie potrzeba.

Antek zbladł, ale rzekł zwolna:

Spiesz się, moja droga, bo *periculum in mora...*

Patrzył jej w oczy zjadliwie.

Mila odpowiedziała:

— Tak, byłoby w istocie *periculum...*

— Widzisz, jakaś ty głupia, no powiedz tylko, bo nie chcę gorzej cię nazwać...

— Przepraszam cię, Antku, ale to... no, wogóle przepraszam i koniec...

Antek patrzył na nią zdziwiony. Ona go przeprasza? Przecież on doskonale odczuwał, że ją zirytował śmiechem z powodu łaciny. Więc nawet jej złość ma pewne granice i niczem nie przypomina grymasów, chociaż chwilami wybucha? Czyżby u dyabła Mila była dzielną kobietą, czyżby on miał psi obowiązek ukorzyć się przed tą pensyonarką z medalem? Potem swym sprytnym umysłem zapytał

siebie, czy nie byłoby szczytniej dla niego hołdować Mili, niż dokuczać, czy nie czas poznać się na niej i manifestacyjnie swoje uznanie wypowiedzieć?.. Mimowoli pracował teraz myślą nad tem, coby się dało uratować z tego pogromu, z czemby mu było najwięcej do twarzy?

— Ona, myślał, nie potrzebuje moich pochwał, bo ile razy jej się hołdów zachce, to sobie taką babę sprowadzi, albo sama do niej pójdzie. A jednak ciągle jej na mojem zdaniu zależy... ambitna...

Coś pchało Antka do siostry.

— Dlaczego my się ustawicznie kłócimy? — szepnął.

Mila odeszła ku matce i milczała.

Antek przemógł się i powtórzył:

— Pytam, dlaczego my się kłócimy?

— To ja o to pytam — odparła.

— Ja pytam, ty pytasz, któż nam na to odpowie?

— Ja wam odpowiem — rzekł ślepiec: · A mnie się zdaje, oczywiście (roześmiał się), że wy się w ten sposób kochacie, chociaż ty, Antku. czasem tak coś powiesz, że aż mnie zakłuje... Antek szedł zwolna do siostry. Mila wiedziała, że się coś dobrego stanie, że się coś zmieni w jej życiu, a co za tem idzie, i w życiu całej rodziny, przedewszystkiem jednak czuła, że dzisiaj spotyka ją niesłychany hołd od mężczyzny, którego skrycie za zdolność i dar krytyczny uwielbia.

Dostała dziwnego drżenia i przytuliła się do matki, która otoczyła ją ramieniem.

— Milu? — szepnął naprawdę rozczulony Antek.

— Daj mi pokój — mruknęła dziewczyna, pewna zwycięztwa...

— Niechże ją mama puści nareszcie...

— Nie puszczę — odparła przekornie matka i zaczęła Milę kołysać w objęciach.

— Mila śpi — szepnęła, uśmiechając się przez łzy.

Lecz dziewczyna z obawy, żeby Antek nie stacił cierpliwości, sama zwolniła się z objęć matczynych i raptem zarzuciła mu ręce na szyję.

— Przepraszam, przepraszam! — łkała.

W pierwszej chwili Antek nie wiedział, co z nią robić. Objął siostrę i dopiero poczuwszy jej bijące serce, zrozumiał położenie.

— Mój kochany pedagog — mówił, umyślnie dobierając wyrazy, — mój pracownik, moja mądrala, moja Mila, mój kochany chłopak, chciałem rzec, kochana dziewczyna...

Oboje wybuchnęli śmiechem, a ślepiec zawołał:

— Antek, powiedz, ty już wiesz, co...

Chłopak krzyknął, ukląknąwszy przed rozpromienioną Milą

— Oczywiście!

Wł. Bukowiński.

Polskie powieściopisarki.

Z powodzi tak zwanych nowości naszej beletrystyki współczesnej wybieram tym razem nie bez rozmysłu cztery utwory powieściowe, które wyszły z pod piór niewieścich i zajmują się przeważnie lub nawet wyłącznie niemal charakterystyką różnych faz i stanów współczesnej duszy kobiecej. Dwa pierwsze należą do autorek, mających już w swym bagażu literackim po kilka tomów nowel i powieści; na dwóch innych spotykamy nazwiska, ukazujące się po raz pierwszy na okładkach książkowych.

Autorki dawniej znane nie wzniosły się jednak w swych nowych pracach ponad poziom szablonu i tuzinkowości. Dały nam utwory, przydatne może do zapełniania szpalt jakiegoś mniej wybrednego tygodnika „dla kobiet“ lub tomu „Biblioteki“, której zawartość kłóci się dość często z epitetem tytułowym, lecz nie wzbogaciły piśmiennictwa garścią nowych a ciekawych spostrzeżeń nad życiem i, pomimo pozornego zagłębienia się w dusze swych bohaterek, trzymały się wytrwale na ich powierzchni. Jest to tem dziwniejsze, że p. Cecylia Walewska w poprzednio wydanych zbiorach utworów powieściowych wykazywała nieraz wcale nietuzinkową znajomość pewnych, najczęściej odstępujących od t. zw. normy, stron duszy kobiecej, a i p. Grot-Bęczkowska zdobyła się już parę razy na udatne i zajmujące obrazki z życia wsi i małego miasteczka. Tym razem siły nie dopisały zamiarom. A zamiary były rozległe...

Oto p. Walewska chciała odmalować w swej powieści przeistoczenie się i odrodzenie wewnętrzne bezdusznej lalki salonowej, pod tchnieniem pierwszej, spóźnionej już, ale prawdziwej miłości. — Lalek bezmyślnych nie brak w naszem otoczeniu najbliższem, powieściopisarka wolała jednak wyszukać dla swego utworu mniej powszednie tło i mniej pospolitych bohaterów. Więc, jak Sienkiewicz w „Na jasnym brzegu“ i niektórych rozdziałach „Rodziny Połanieckich“, tylko naturalnie bez jego talentu i plastyki, przenosi nas w kosmopolityczną sferę bogatych próżniaków; zgromadzonych na „wypoczynek“ letni na jakiejś małej wysepce, i każe poznać się tam i zbliżyć do siebie dziwnej dosyć parze mieszkańców, złożonej z owej właśnie bezdusznej pani Nuny Zarzeckiej, która tu przyjechała, zdoławszy uwolnić się na czas jakiś od towarzystwa wstrętnego jej, lecz bardzo bogatego męża, i ze znakomitego malarza Jerzego Nordena, któremu względem niej przypadła w udziale wdzięczna rola Pigmaliona. Jej matka była Włoszką, ojciec — Polakiem; jego matką była Polka, ojcem — Niemiec, lecz mimo te zawiłe kombinacye rodzinne mimo wkręconą w jakiś sposób sprawę wykupu od hakatystów niemieckich rodzinnego majątku matki Nordena, kosmopolityczna para bohaterów nie budzi w nas żywszego zajęcia i pozostaje nam obcą do końca.

Więc zamiast ciekawego zagadnienia psychologicznego, mamy ostatecznie blade dosyć opisy, szereg nagromadzonych bezładnie scen i dużo, bardzo dużo słów, niewyjaśniających zresztą bynajmniej najciekawszych momentów psychicznych. Wiemy, że Nuna jest bezduszną, bo nas o tem wielokrotnie zapewnia autorka, ka żąc jej w odpowiedni sposób postępować, ale istotne, głębiej ukryte motywy tego postępowania, od porzucenia pierwszego męża i dzieci dla powozu, koni i salonów Zarzeckiego, aż do rzucenia się w objęcia umierającego na suchoty dziwaka i samoluba i pełnienia przy nim w chwilach ostatnich rolę siostry miłosierdzia — są dla nas w gruncie rzeczy nieznane. To samo Norden: słyszymy dużo o jego bogatem życiu wewnętrznem, lecz tego bogactwa nie widzimy. Mamy przed sobą nie jakąś pociągającą, mimo wszystko, bajroniczną postać wielkiego artysty, odludka i mizantropa, jaką, zdaje się, chciała stworzyć autorka, lecz pospolitego dosyć a bardzo bezwzględnego egoistę, co naturalnie czyni jeszcze mniej zrozumiałym cały ów proces wewnętrzny, odbywający się w duszy pani Nuny, której imię właściwie pozostaje dla nas również zagadką aż do końca. Nieuchwytności i bezkrwistości tych dóch głównych, w powietrzu niejako zawieszonych postaci, oraz uderzającego braku istotnego wątku dramatycznego — nie może okupić ani szlachetna myśl zasadnicza utworu, ani kilka rozrzuconych tu i ówdzie scen żywszych i plastyczniejszych, których liczba ku końcowi.

P. Teodor Jeske-Choiński, w niepozbawionej błędów językowych przedmowie do „Marzycielki“, zapewnia nas, że z utworów powieściowych p. Wandy Grot-Bęczkowskiej wieje „zdrowie moralne“ i że unosi się nad nimi „uczciwa tendencya, świadcząca o poczuciu obywatelskiem autorki“. Nie myślę przeczyć, tylko że w dziełach sztuki, do których pragnąłbym szczerze zaliczyć i powieści, wydawane przez „Bibliotekę dzieł wyborowych“, wyżej jeszcze od zdrowia moralnego i uczciwej tendencyi, poręczonej nawet przez taką w tych rzeczach powagę, cenimy podobno pewien drobiazg, zwany artyzmem, tego znów w „Marzycielce“ doszukać się w żaden sposób nie podobna.

Jest to naiwne lub obliczone na grubą naiwność czytelników opowiadanie, mające, zdaje się, przekonać czy dowieść, że prawdziwie artystyczna dusza nie może sobie usłać gniazda rodzinnego. Zakochana poprostu w fortepianie Anna Starzeniecka, ni z tego, ni z owego, tak sobie, „dla sprawienia radości mamie“, zaręcza się z gruboskórnym właścicielem pięknego folwarku, nieznoszącym muzyki i niemogącym zrozumieć artystycznych uniesień narzeczonej. Ania wyjeżdża z matką do Reinertz i zakochuje się tam w uwielbianym oddawna mistrzu fortepianu Bardzkim, a tymczasem narzeczony jej, Leon Skalski, któremu jechać za sobą zabroniła, przychodzi stanowczo do wniosku, że kokietująca go zręcznie, gospodarna i obdarzona bardzo miłym „temperamencikiem“ kuzynka Ani, Helenka, która i tak już zabierała za nią wszystkie jego bukiety, będzie pod każdym względem odpowiedniejszą żoną dla niego. Rzecz się załatwia odrazu, zwłaszcza, że i matka Leona podziela w zupełności ten pogląd. Bardzki z drugiej strony bardzo prędko uznaje Anię za odpowiednią towarzyszkę życia, ale ta, choć zakochana szalenie, nie wyjdzie, rzecz prosta, za niego, nie chcąc zrobić przykrości zacnej pani Ludzie, u której na wsi, w Osinowie, wielki artysta spędzał różnymi czasy wiele chwil przyjemnych, dzięki czemu „odpychał on od siebie wszelkie sidła i uroki niewieście i zachował zdrowie (!), wrażliwość uczuć, serce niewyjałowione“, a i teraz jeszcze „posyłał pani Ludzie kiedy niekiedy telegraficzne o sobie wzmianki i tąż drogą odbierał od niej odpowiedź“...

Gdyby jednak Ania nie wpadła była na myśl „sprawienia radości“ najpierw mamie, a potem zacnej pani Ludzie, ciekawa rzecz, coby się było stało z powieścią. Kto wie, czytelniku, czy nie stra

cilibyśmy bezpowrotnie dwóch wspaniałych opisów koncertów, po których „w sali panowała cisza. *więcej zaszczytna* od najhuczniejszych oklasków“ (str. 77); czy nie pozbawionoby nas pewności, że pomiędzy panią Ludą a Anią, *stwierdzającemi w szczegółach najdrobniejszych swoją kobiecość*, nerwy Bardzkiego uciszają się“; czy wreszcie reporterzy otrzymaliby równie piękny wzór do naśladowania, jak ten oto wzrot: „Dziwił go głęboki i poważny pogląd Ani na sztukę i wielkie umiłowanie tejże“ (str. 120). Więc lepiej może się stało, że panna Ania miała chlubny zwyczaj sprawiania innym radości...

(Dokończenie nastąpi).

Sejm niewieści w Berlinie.

Przez dwa dni cały Berlin wolnomyślny trząsł się z oburzenia. Delegatki postępowych towarzystw kobiecych z całych Niemiec zjechały się do stolicy i rozumując — ze swego stanowiska zupełnie trafnie — że przysługują im te same prawa co reprezentantom brzydkiej połowy ludności, postanowiły odbyć swą walną naradę na sali parlamentu. Ale władze były innego zdania i odmówiły swego zezwolenia, a nadto policya, zaniepokojona widocznie tym sejmem niewieścim, narobiła tyle trudności, że biedne delegatki przez dwa dni nie mogły przystąpić do pracy. Wczoraj wreszcie uporano się z przeciwnościami, i obrady rozpoczęły się w „Pałacu przemysłowym“.

Zatarg z policyą zrobił zjazdowi reklamę i zapewnił mu wielkie powodzenie. Ogromna sala była zapełniona do ostatniego miejsca. Rozumie się, że przeważały kobiety; mężczyźni stawili się tylko z ciekawości i dla asystencyi.

Jak zawsze na takich zebraniach, przedmiotem obrad były zagadnienia niezmiernie zawiłe i drażliwe, i jak zawsze, rej wodziły panie niezamężne. Pierwszy referat „o wspólnem wychowaniu płci“ wygłosiła młodziuteńka panna Helena Stöcker, zdaje się, że córka byłego nadwornego kaznodziei — wyjątkowo doktor filozofii, a nie medycyny. Drugi, o „wychowaniu politycznem kobiety“, znacznie już poważniejsza latami panna Anita Auersberg, która zresztą odgrywała w tym sejmie niewieścim rolę „generalnego mowcy“ i z równą biegłością mówiła o wszystkich poruszonych tematach. Dwa referaty wygłosili uproszeni przez zjazd przedstawiciele płci brzydkiej: dr. Silbermann o „ustawie kas zabezpieczenia dla chorych“ i profesor Flesch z Frankfurtu nad Menem o „hygienie i moralności“. Po każdym referacie była ożywiona dyskusya, w której, jak już wspomniano, górował przenikliwy głos wymownej i wszechstronnej panny Anity Auersberg.

Obrady miały charakter bardzo poważny, ściśle naukowy, ale bynajmniej nie suchy i nudny. Sam już wybór tematów, z wyjątkiem trzeciego, o kasach dla chorych, starczył, aby zainteresować wszystkich. Referaty były opracowane doskonale, dyskusya swobodna i zajmująca a przytem ściśle rzeczowa. Ale wszystko to miało delikatny odcień mimowolnego komizmu, który zwłaszcza przy pierwszym referacie panny Heleny Stöcker, wywoływał uśmiech na ustach mężczyzn. W głowie się pomieścić nie mogło, gdzie taka młodziutka, dobrze wychowana panienka, która zaledwie zdążyła ukończyć gimnazyum i uniwersytet, mogła nazbierać tyle tak rozmaitych wiadomości o stosunkach, które w w praktyce muszą być jej zupełnie obce. Oczywiście z książek i opowiadań, nie z własnego doświadczenia. To też cały referat miał charakter rozumowany, teoretyczny, a brakowało mu zupełnie jedynej podstawy realnej — życiowej.

Teoretyczność też zupełnie oderwana była głównem znamieniem obrad tego sejmu niewieściego i główną ich wadą. Podnieść jednak należy, że unikano zwykłej na zebraniach feministycznych skrajności i karykatualnej przesady i stawiono sobie cele, nie wychodzące bynajmniej po za obręb tego, co zgodne z naturą kobiety, a po części i pożądane. Sympatyczne pragnienia umoralniania ludzkości w interesie kobiety przebijało się w całej dyskusyi. Głównym przedmiotem obrad były środki prowadzące do tego celu. Za najważniejszy uznała panna Helena Stöcker, a z nią całe zebranie, zerwanie z systemem oddzielnego wychowywania chłopców i dziewcząt. Referentka przypomniała że w rodzinie dzieci wychowują się razem, i zażądała, aby szkoła nie zbaczała z tej drogi. Przez nieustanne stykanie się obie strony przyzwyczajają się do siebie i poznawają się dobrze. a przyjęte dziś na zachodzie powszechnie oddzielne wychowywanie chłopców i dziewcząt jest jedną z głównych przyczyn zaniku poczucia moralnego i jednem z najważniejszych źródeł rozdwojenia. Wspólne wychowanie nie szkodzi moralności, przeciwnie stwierdzono, że oddziaływa dodatnio, zwłaszcza na chłopców, a w ogólności ma ten skutek, że jedna strona mniej zajmuje się drugą. Referentka była łaskawa przyznać, iż dzisiejsza niższość kobiety nie jest wyłącznie następstwem niegodziwości mężczyzn, lecz daleko więcej skutkiem tego, że kobieta nie zna swych sił i nie domagała się dotąd praw, które jej przysługują.

Przez wspólne i równe wychowanie, którego domagał się już Plato przed 2 tysiącami lat, kobieta pozna swe siły, a obie połowy ludzkości nauczą się rozumieć głęboką i konieczną różnicę, która pomiędzy niemi istnieje. Wtedy też miejsce dzisiejszej walki i lekceważenie kobiety, które



WIOSNA — MŁODOŚĆ.

ze swej strony wywołuje pogardę dla mężczyzny, zajmie poważanie się wzajemne i zrozumienie się wzajemne. W rezolucyi podanej przez referentkę i uchwalonej przez zebranie, zażądano: 1) gruntownej reformy wyższych szkół żeńskich; 2) wspólnego wychowywania chłopców i dziewcząt; 3) wyrażono przekonanie, że wychowanie wspólne oddziała umoralniająco na mężczyznę, przyczyni się do wzmocnienia węzłów małżeństwa i podniesienia życia rodzinnego; 4) wyrażono przekonanie, że gruntowe wykształcenie kobiet będzie dla nich lepszem przygotowaniem do zawodu macierzyńskiego.

Prof. Flesch w swoim referacie o „Hygienie i moralności“ doszedł ostatecznie do tego samego rezultatu. Oprócz tego zażądał on skrócenia służby wojskowej, podniesienie dobrobytu ludnośćf, aby ułatwić zawierania małżeństw, a stwierdzając, że sprawa moralności interesuje przedewszystkiem kobiety, zawezwał je, aby zajęły się jej rozwiązaniem, a nie dawały zastraszać się zarzutem, że „to nie wypada“.

Referat o „politycznem wychowaniu kobiet“ i o „kasach dla chorych“ były mniej zajmujące i dotyczyły wyłącznie stosunków niemieckich.

Myśli i aforyzmy.

...Jeżeli w dobrej sprawie przekonać nie możesz, ufaj, że ci czas przyjdzie na pomoc; kto nie słucha rozumu, czas go nauczy...

..Ciężko nakłonić tych dowodami, którzy się nie kierują cnotą, którzy zaś idą za cnotą, niepotrzebują dowodów ..

...Nigdy roztropność nie zwycięża tego, czegoby wprzód cierpliwość nie doznała...

...Rozsądek jest panem wszystkich nauk, którego dowcip jest sługą — jeśli mu tamten źle rozkazuje, nie dziw, że i ten źle sprawia...

Stanisław Lubomirski.

...Namiętności przywiązują nas do życia, i te same namiętności popychają nas do grobu...

M Gosławski.

...Niedola jest chorobą bez nadziei uleczenia, jest to niedołężność bez wsparcia, czucie bolesne bez przyczyny umiarkowania .

.. Książka, jest to nierozdzielny towarzysz, przyjaciel bezinteresowany, domownik bez naprzykrzenia. W zasępieniu rozweseli, w tęsknocie zabawi, w każdej okoliczności nauczy i wesprze...

L. Osiński.

Bertold Merwin.

Kapłan życia.

(Dokończenie).

Podstawą wszechistnienia jest uczucie miłości, a miłość to jedność, to zharmonizowanie wszelkiej dwoistości.

„Czemże jest miłość, jeżeli nie życiem, jeśli nie jednością? *Unum baptismu, una fides*, ludzkość jest Jednością...

„Ten, który żyje, jest tym, który kocha; jest on złączony i łączy“.

„Ten, który nie żyje, jest tym, który nie kocha; jest on rozłączony i rozłącza“.

„Życie, Miłość, Jedność łączą się ze sobą, a właściwie tworzą jedno. Śmierć, obojętność i rozdział są to trzy wyrazy jednoznaczne“.

I to właśnie jest słabą stroną wiedzy współczesnej, iż tak mało łączy, jednoczy.

„Para i elektryczność — powiada Hello — czynią wszystko, co mogą, aby nas zjednoczyć, a nigdy nie byliśmy bardziej, nie byliśmy głębiej rozerwani“. Nasza wiedza nie sprowadza ludzkości do skupienia, do sharmonizowania, a trzeba właśnie, „by wiedza oddychała właściwą sobie atmosferą świątyni“...

I tu przejawia się kapłański charakter wywodów Ernesta Hello. W krąg życia wstąpić należy, gdyby do świątnicy, a wstępować należy z namaszczeniem i podniosłością, świętemu miejscu przynależną.

„Wyżyny lubią słowa — głębie lubią milczenie“.

Hymnem, potokiem słów wezbranych wznosił się kapłan starożytny na wyżyny, gdzie przeczuwał objawienie; głębią milczenia i kontemplacyi przebić chciał mroki, osłaniające tajemniczość bytu.

A teraz? Ani śladu z tego wszystkiego. Bez tonu podniosłego, bez przeświadczenia o kapłaństwie życia zbliżamy się do otoczenia. I dlatego w wiecznym z niem rozdźwięku jesteśmy.

„Rozpocznijcie od sporów, wszystko pozostanie jałowe.

Rozpocznijcie od miłości, wszystko stanie się płodne.

Trzeba utworzyć Jedność, zanim zajmiemy się szczegółami, ażeby następnie wprowadzić szczegóły do owej jedności, która wtedy objąć je jest gotowa“...

Tak brzmi zasadniczy ton, Leitmotiv wywodów Ernesta Hello. A szczegóły, które „wprowadzić chce do owej jedności?“ Uwzględniam kilka z nich.

Np. wyzbycie się obojętności, którą Hello zwie „tryumfem szatana“.

„Jeśli jesteś śpiący, obudź się!

„Jeśli jesteś martwy, powstań z martwych!

„Szukaj w twem życiu przeszłem, w twem życiu zagasłem najlepszych wspomnień. Wspomnij świeżą woń rosy porannej, którą niegdyś musiałeś oddychać i zobacz, czy będziesz miał siłę powiedzieć: Co mi tam!“

A obojętność tak dalece olbrzymieje, że prześlaniać nawet zawsze pojęcie prawdy, tworząc utarty i często spotykany komunał: prawda jest nudna. „Jakto — oburza się Hello — prawda? Ależ ona jest źródłem wszelkich uniesień! jest tem, co wszelkie znane nam blaski i światła usiłują symbolicznie odtworzyć! Jej to słabe promyki budzą nieznane zachwyty!...

„A teraz osądź, czem jest obojętność“...

Albo np. inny szczegół wprowadzony do owej jedności: kojarzenie się wyobrażeń. Normalnemu kojarzeniu się wyobrażeń zagraża, wedle Hello, ogromne niebezpieczeństwo: nasza wyobraźnia odwyka powoli od łączenia idei piękna z ideą dobra! A wniosek jaki Helio z tej przesłanki wysnuwa, przeraża go: „Skoro te dwie idee przestaną się łączyć, ludzie staną się skłonni mniemać, że świetny blask życia i czystość jego nie spotykają się razem i że trzeba wybierać między niemi. Wyobraźnia pociąga oszukanego w kierunku fałszywych blasków i na dnie przepaści znajduje on obrzydzenie, które go tam oczekiwało“...

Albo np. hodowla ludzi miernych.

Gdyby człowiek mierny zajmował niejako „punkt centralny świata duchowego“, tak, iż na jednym krańcu królowałaby głupota, a na drugim wznosiłby się geniusz, człowiek mierny, zajmując złoty środek, byłby stworzeniem najbardziej zharmonizowanem, najszczęśliwszem.

Lecz tak nie jest. On złotego środki nie zajmuje świadomie. Bo jest bierny, pozbawiony wewnętrznego przeświadczenia o swem stanowisku. Rysem charakterystycznym człowieka miernego jest uległość względem opinii publicznej. Nie mówi on nigdy, zawsze tylko powtarza“.

I na tem tle wznosi Hello przecudowną tkankę, uwitą z subtelnych nitek, składających się na pojęcie miernoty. Oto kilka z nich:

„Człowiekowi miernemu powodzi się, gdyż płynie z prądem, człowiek wyższy odnosi tryumfy, gdyż płynie przeciw prądowi...

„Człowiek mierny nie odczuwa ani wielkości, ani nędzy, ani bytu, ani nicości. Nie jest ani noszony, ani strącany, zatrzymuje się na przedostatnim stopniu drabiny, niezdolny wstąpić wyżej, zbyt leniwy, ażeby zstępować niżej...

Człowiek mierny, niższy jest od tego, czego dokonywa. Dzieło jego nie jest urzeczywistnieniem jego myśli: jest to praca dokonana wedle pewnych reguł...

„Człowiek mierny jest pełen swego dzieła, pełen siebie samego, pełen marności, pełen próżności, a ta wstrętna osobistość zawiera się całkowicie w dwóch wyrazach: Oziębłość i Próżność“...

Albo wreszcie rozigranie się bałwochwalstwa, dziki taniec około złotego cielca, jaki w tegoczesności z coraz większą wre mocą.

I tu jest Hello najwznioślejszy i najczulszy zarazem. Chwyta najdrobniejszy odcień samolubstwa i każdy z nich rozszczepia na dwa zasadnicze przejawy: skąpstwo i chciwość. Wykazuje, jak się chciwość głośno uzewnętrznia, a jak się przeciwnie skąpstwo kryje, jak w duszy potwora ukrywa; „potwór ten czasem śpi, czasem się odżywia; gdy śpi, skąpiec zamyka się w sobie, gdy pożera, skąpiec pełen jest niepokoju“... A wreszcie wykazuje, jak zarówno chciwy, jak i skąpy, ofiarą padają swych namiętności.

A kult ten, owo bałwochwalcze uwielbianie złotego cielca jest dla Ernesta Hello najsilniejszą pobudką, powodującą badanie stosunków obecnych. Gdyby nie złoty cielec, nie zrozumiałby on całego szeregu objawów, będących tylko skutkami owego kultu. Złoty cielec, to „bożyszcze z natury swej smutne jest, mroczne, ponure, ale trzeba wniknąć w najskrytsze tajniki, w najciemniejsze zaułki życia, aby ujrzeć posępne jego oblicze“.

Wybrałem kilka tylko szczegółów; resztę pomijam, musiałbym chyba całą książkę wypisać.

Tak przeprowadza nas Hello przez szereg przejawów, będących negacyą życia, rozstrojem przyrodzonej Jedności, czynnikami rozkładczymi, niweczącymi wszelką harmonię. A celem jego: wszczepienie potrzeby zharmonizowanego życia.

Spełnia on misyę kapłańską w tem znaczeniu, jakie nadaje mu poeta (R. Zmorski), mówiąc:

„...pieśni wieszczów są w ludzkości tak
Jako w człowieku bywa pulsów bicie,
Co jednocześnie podtrzymuje życie
I o życiu daje znak“.

Ernest Hello jest jednym z tych, których legenda skandynawska o Ragnarökn powołuje „do potrzymania i dawania znaku o życiu“ w chwilach, kiedy cienie zmierzchu wydłużać się poczynają...

Nowe książki.

M. M. Biernacki. **„Zasady muzyki w zakresie wymagań konserwatoryum“.**

Treść książki obejmuje, obszernie wyłożone, wszystkie ogólniejsze wiadomości zasadnicze, z któremi każdy młody muzyk winien obeznać się dokładnie, zanim przystąpi do pracy nad nauką: harmonii kontrapunktu itd.

Część pierwsza nowej książki p. Biernackiego traktuje o dźwiękach, rytmice i ekspresyi: określa muzykę, podział jej i materyał, zapoznaje ucznia z alfabetem muzycznym, notacyą i systemem nutowym, objaśnia cel kluczy, oraz sposób czytania w nich i pisania, wreszcie zawiera rozdziały o znakach chromatycznych, o enharmonii, o gamach, zmianach tonacyi, przewrotach, dysonansach i konsonansach, o takcie, ruchu, grupach rytmicznych i pauzach, o akcentach, synkopach, odbitkach, ozdobnikach.

W części drugiej spotykamy naukę czytania nut głosem, osobny dział o transpozycyi, pod koniec objaśnienie skróceń muzyczno-pisarskich. Nadto do wypracowań dodał autor jeszcze szereg pytań i zadań, w których streszcza się nauka przedmiotu, a które uczący się powinien rozwiązywać.

Przepisy o głosach i instrumentach, o solmizacyi, o pisowni greckiej, neumach, tabulaturze i *nota choralis*, o temperaturze stroju, o odległościach podwójnie chromatycznych, o piśmie mensuralnem i dawnych kształtach kluczy, o rozwoju motywu i wiele innych uzupełnia poważny zbiór cennych wiadomości.

Eugeniusz Mottaz. — **„Stanisław Poniatowski i Maur. Glayre“.**

Na książkę Mottaza zwrócono już u nas uwagę kilka lat temu podnosząc jej zalety, jako nowego a ciekawego źródła do charakterystyki epoki rozbiorowej. Obecnie wyszła ona w „Bibliotece dzieł wyborowych“, w przekładzie polskim pani Jadwigi z Chmielowskich Baranowskiej, z objaśnieniami i wstępem skreślonym przez S. Krzemińskiego.

Maurycy Glayre o którym wogóle mało u nas dotychczas wiedziano, z rodu Szwajcar, był początkowo prywatnym sekretarzem króla Stanisława, pod koniec zaś swego pobytu w Polsce „radcą tajnego gabinetu króla“. W r. 1787 opuścił on Polskę na zawsze „skutkiem zniechęcenia się do króla, a rozczarowania do kraju“.

Korespondencya jego, zebrana przez Motaza, profesora historyi w kolegium w Yverdon, zaczerpnięta dostała z archiwum prywatnego rodziny Lerberów, pochodzącej od Glayera, a geneza jej jest następująca: Kiedy Maurycy Glayre miał sobie powierzoną w r. 1788 misyę we Francyi złożono w jego ręce depesze, które król Stanisław August pisywał od r. 1772 do generała hr. Mouneta, swego tajnego agenta w Paryżu. Glayre znalazł pomiędzy temi depeszami również i swoje własne, pisane do Mouneta w okresie lat 1772—1788. Dalej Glayre stał się także właścicielem listów w oryginałach i w odpisach wymienionych przez króla i przez Branickiego podczas misyi danej temuż Branickiemu do dworu Wersalskiego z końcem r. 1772. Wreszcie w archiwum Lebrerów znalazły się listy, adresowane do Glayrea z Polski po powrocie jego do Szwajcaryi. Pisał je albo sam król, albo osoby zostające na dworze lub w służbie królewskiej.

W listach tych występuje przed nami wypukło i wyraźnie nietyle osoba Króla Jegomości, którego charakter zarówno w dodatnich, jak i z ujemnych strony znamy ze źródeł innych ile dosadne i wierne określenie zadań misyi Branickiego w Paryżu. Na misyę tę korespondencya rzuca światło istotnie nowe — i z tego względu książka zasługuje na bliższą uwagę. Pominąwszy jednak ten szczegół wagi historycznej, listy te ciekawe są niezmiernie już dlatego samego, że dotyczą końca XVIII. w. i ważnych dziejowych wydarzeń. Książka wobec tego niewątpliwie rozejdzie się szeroko.

Kongres towarzystw pokoju.

Międzynarodowy kongres towarzystw pokoju, który odbył się w Glasgowie podczas tamtejszej wystawy, zakończył swe prace wydaniem następującej odezwy:

„Dziesiąty kongres wszystkich istniejących towarzystw pokoju, zebrany w Glasgowie, kończąc swe prace, uważa za niezbędne wskazać dokładnie charakter obecnego ruchu na korzyść pokoju. Społeczeństwo współczesne dąży coraz bardziej do zdemokratyzowania się. Interesy ubogiej ludności, wystawiane na pierwszy plan przez działaczy państwowych, bywają usuwane na drugi plan we wszystkich kombinacyach dyplomatycznych. Wszędzie powstaje groźna a potężna kwestya nędzy, coraz dobitniej dowodząca, że jednym środkiem do zabezpieczenia masom ludowym bytu, godnego człowieka, może być uregulowanie stosunków międzynarodowych. Sprawa dobrobytu ludów i opartego na sprawiedliwości związku państw, znajduje się w ścisłym z sobą związku.

„Obecnie marnuje się miliardy na cele wojenne i ludność jest pozbawiona możności wyzyskania niezgłębionych bogactw kuli ziemskiej. Nieprzyjazne stosunki między narodami hamują wzajemną wymianę sił roboczych i handlowych. Wskutek tego, wytwórczość krajów nie dosięga tego poziomu, do jakiegoby dojść mogła, a wynikiem jest ogólna nędza“.

Rzecz oczywista, że na kongresie tym nie można było pominąć milczeniem wojny afrykańskiej. Nie potępiono jej formalnie w osobnej rezolucyi, niezawodnie ze względu na to, że Anglia była gospodarzem kongresu. Zaprotestowano tylko w zasadzie przeciw zaborczej polityce W. Brytanii i dążności do pozbawienia Boerów swobody politycznej. Ustęp odnośny jest zredagowany bardzo ostrożnie w formie następującej:

„Pomijając względy innego rodzaju i rozważywszy wypadki lat ostatnich, oraz widoki na przyszłość, kongres uważa za niezbędne raz jeszcze uroczyście ogłosić główne zasady, opracowane na kongresie w r. 1891 w Rzymie:

Prawo zaboru wojennego nie istnieje. Narody mają nietykalne i niezaprzeczone prawo do samorządu. Swoboda każdego narodu jest nietykalna“.

Rozumie się, że rząd angielski nie da się przez taką uchwałę powstrzymać w swej polityce zaborczej.

Odkrycia archeologiczne w Krakowie.

W ostatnich dniach, jak donoszą pisma krakowskie, dokonano przypadko przy kopaniu fundamentów i robotach wodociągowych dwóch odkryć archeologicznych, ważnych i interesujących dla badaczy przeszłości Krakowa. Na terenie budowanym na rynku kleparskim szkoły miejskiej natrafiono przy kopaniu fundamentów, w głębokości 4 metrów pod powierzchnią, na podłogę drewnianą, po której przebiciu ukazała się duża sklepiona piwnica o sklepieniu gotyckiem bez żeber. Piwnica ta jest pozostałością dawnego ratusza kleparskiego, o którego istnieniu mówią zapiski w aktach. Za staraniem konserwatora p. Tomkowicza dokonano zdjęcia fotograficznego piwnicy, poczem po dokładnych oględzinach murów postanowiono piwnicę rozebrać a pewne części sklepienia użyć do budowy fundamentów. Na nowowybudowanej szkole po jej wykończeniu umieszczona będzie tablica pamiątkowa, że w tem miejscu stał dawny ratusz kleparski.

Drugie, jeszcze ciekawsze i ważniejsze odkrycie zrobiono na rynku Kazimierskim. Przy kopaniu kanału wodociągowego natrafiono w pobliżu domu, na którym mieści się tablica objaśniająca o położeniu dawnego uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, na dalszy zrąb murów wielkiego tego gmachu. Zawiadomiony o odkryciu konserwator dr. Tomkowicz stwierdził na miejscu niewątpliwą autentyczność murów, jako pochodzących z epoki Kazimierza Wielkiego i należących do wielkiej budowli uniwersyteckiej. Mury te ciągną się na długiej przestrzeni, a naukowe zbadanie wykopaliska pozwoli określić dokładnie linie sytuacyjne planu budowli. Za zgodą prezydenta miasta prowadzą się na koszt miasta dalsze prace nad odkopaniem fundamentów, które rzucą nowe światło na ową budowlę.

Dziwnym zbiegiem okoliczności przed niedawnym czasem odnalazł dr. St. Kutrzeba, adjunkt archiwum aktów grodzkich, nieznane dokumenty, stwierdzające, że budowla Kazimierzowska pozostała niewykończona i że plac ów dzierżawiono żydom za czynszem rocznym.

O śmierci Feliksa Faurea.

Figaro paryski ogłosił w ostatnich miesiącach długi szereg rozmów, które miał z b. prezydentem Faurem niewymieniony imiennie za ufany jego przyjaciel. Obecnie rozmowy te wydano oddzielnie w formie książkowej, a nieznany autor dodał wstęp, w którym pomiędzy innemi zajmuje się ostatniemi chwilami Feliksa Fauera Co się tyczy niewyjaśnionych dotąd przyczyn nagłej śmierci prezydenta, to zbija on twierdzenie, jakoby otruto Fauera przez podanie mu cyankali w cygarze. Autor wstępu wypowiada przekonanie, że nie podobna wcale zrozumieć, jakby można prezydentowi podsunąć takie cygaro, i przypuszcza, że Faure umarł skutkiem paraliżu.

Więcej zajmujące od tych przypuszczeń są wiadomości o ostatniej wizycie, którą otrzymał Faure przed swą śmiercią. Po audyencyi, udzielonej arcybiskupowi Paryża, Richadowi, przybył do prezydenta ks Monaco, powracający właśnie z Berlina.

Po kilku uwagach o swoim pobycie w stolicy Niemiec, książę zwrócił rozmowę na sprawę Dreyfusa i dowodził, że kapitan jest niewinny.

„Prezydent — pisze nieznany autor — słuchał z objawami wielkiej niecierpliwości, kręcił się niespokojnie na fotelu, przesuwał nerwowo przedmioty leżące na biurku i przerywał gościowi. Nagle powstał i począł chodzić po pokoju: „To być nie może!“ — zawołał. — „Jak pan może mi opowiadać takie rzeczy! Wszyscy generałowie mówią i myślą inaczej... Gen. Mercier... Nie mogę słuchać pana...“

Książę Monaco powstał także. Spoglądał na prezydenta milcząco i ze zdziwieniem. Jakżeż ten wykwintny człowiek, który miał być zawsze nadzwyczajnie uprzejmy i serdeczny, mógł zachowywać się w taki sposób i okazywać takie rozdrażnienie, taką nerwowość?

„Feliks Faure nie przestawał chodzić wielkiemi krokami po swym gabinecie, potrząsać głową i powtarzać: „Nie wierzę. . Jak pan może mi takie rzeczy opowiadać.. generał Mercier... generałowie.. “ Zdawał się mówić więcej do siebie, niż do gościa. Nagle otworzył ruchem mechanicznym drzwi, przy których się właśnie znajdował. Ks. Monaco natychmiast podszedł do tych drzwi i powiedział:

„Mam zaszczyt pożegnać pana, panie prezydencie“.

„Faure uspokoił się natychmiast pohamował swe oburzenie, schwycił księcia za obie ręce i zawołał: Już pan idzie? Ale przecież pokaże się pan znowu niezadługo... Nieprawda?“

„I jak gdyby odczuł i żałował, że może poraz pierwszy w życiu wykroczył przeciw formom towarzyskim, odprowadził księcia aż do drzwi drugiego salonu.

„Pożegnawszy gościa, wrócił do swego gabinetu. W kilkanaście minut już nie żył“.

Jako dobrą i pewną lokacyę

polecamy

4% Listy hipoteczne koronowe,
4½% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane,
4% Listy Tow. kred. ziemskiego,
4½% Listy Banku krajowego,
4% Listy B nku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku kraj.
4% Pożyczkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne,

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym. 36 52

Kantor wymiany

c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

Bnku hipotecznego.

TUTKI

ze specyalnej bibułki „ABADIE“

„PRIMUS“

są powszechnie uznane za najlepsze!

Wszędzie do nabycia.

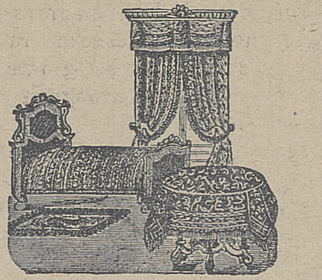
FABRYKA
LWÓW
MICKIEWICZA L. 2

43—52

Gotówka nie wymagana.

Ulgi w spłatach wedle umowy.

Cenniki na prowincyę na żadanie gratis i franco.



Wszelkie możliwe gatunki dywanów salonowych ściennych, pokojowych i kościelnych tudzież chodników, portyer, firanek, cerat linoleum, kap na stoły i łóżka, kołder, koców, der na konie i przedmiotów dekoracyjnych polecа znana i renomowana firma

Wiedeński magazyn i skład dywanów

„AU LOUVRE“

we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6.
(pasaż Hausmana)
Filia w Przemyślu ul. Mickiewicza l. 4.

Prawdziwe perskie i oryentalne dywany po zniżonych cenach. — Specyalny oddział resztek i towarów wysortowanych i wadliwych.

41—44

Wszelkie zamówienia z prowincyi załatwiam odwrotną pocztą.

Nowo otworzony

HANDEL KORZENNY, WIN i DELIKATESÓW

pod firmą

JAN NIEDZIELCZYK

w Tarnowie, przy ul. Wałowej

zaopatrzony we wszystkie towary, przytem połączony pokój do śniadań, gdzie można dostać potrawy li tylko na maśle.

Piwo okocimskie na miary i flaszki.

1—2

Z poważaniem
JAN NIEDZIELCZYK.

Wszelkie zamówienia z prowincyi załatwiam odwrotną pocztą.

Lwowska fabryka chemiczna „TLEN“

Fabryka koncesyonowana i odznaczona złotym medalem na wystawie przyrodniczo-lekarskiej w Krakowie 1900 r.

ŚRODKI OPATRUNKOWE: Waty, gazy, opaski, **plastry kauczukowe, plastry gorczyczne (Rigollot), plastry angielskie w kawałkach całych i dziurkowane (perforowane). Opaski menstruacyjne dla kobiet „Victoria“.**

SKŁAD ARTYKUŁÓW GUMOWYCH i CHIRURGICZNYCH.

MYDŁA LECZNICZE natłuszczone wszelkiego rodzaju.
MYDŁO ZIOŁOWE Dr Borchardta. Mydło rumiankowe.
Mydło natłuszczone czyste lanolinowe i waselinowe do codziennego użytku.
MYDŁO FORMOLOWE najznakomitszy środek dezynfekcyjny.
MYDŁA TOALETOWE zbytkowne i zwykłe; lepsze i tańsze od wszelkich zagranicznych wyrobów.
MYDŁO imci pana Zabłockiego doskonały staropolski wyrób.

Mydło ymcy pana Żabłockiego



ku upiękſzeniu lic niewieścich yako y rąk uczynione z oleyków cennych, wonności rozkoſznych y ziół cudownych, nadaie obliczom białogłowſkim gładkość atłaſu, białość lileyi y ruży świetność niezrównaną, Iże płeć ſzpetna nawet, ſtaye ſię mniey ſzpetną od używania onego mydła y wreſzcie ſtaie ſię miłą na weyrzeniu. Mydło owe, wedle dawnych recept tayemnych uwarzone, wyrabia ſię we:

Lwowskiey Fabryce Chemiczney

„Tlen“

na Żamarſtynowie

ATRAMENT antracenowy, alizarynowy do kopiowania.

Zwracać uwagę na firmę!

HOTEL POLSKI

w KRAKOWIE

przy ulicy Floryańskiej

poleca Szan. Publiczności pokoje, wzorowo i elegancko z komfortem urządzone.

Ceny niskie i dla każdego przyjeżdżającego bardzo przystępne.

Zarząd postarał się o wszelkie wygody, by każdy gość był zadowolony, za które poręcza się.

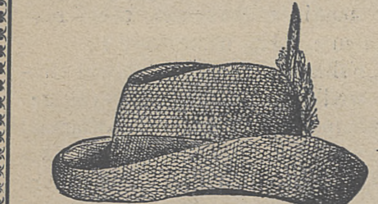
11—24

Z poważaniem
Zarząd Hotelu Polskiego
w KRAKOWIE.

Fabryka kapeluszy

pod firmą

ANTONI KAFKA



przedtem **A. Koželoužek**

we Lwowie, ul. Halicka l. 4.

obok Katedry. 1—2

Poleca na obecny sezon jesienny kapelusze i cylindry własnego wyrobu w najmodniejszych fasonach i kolorach po najprzystępniejszych cenach. Kapelusze i cylindry z fabryki **P. E. HABIGA** w Wiedniu, całkiem lekkie cylindry po 9 zlr. kapelusze w rozmaitych kolorach po 5 zlr. Kapelusze „Loden“ z fabryki A. Pichlera w Grazu, oraz Chapeau-Claque atłasowe po 5 i 8 zlr.

Cenniki na żądanie franco.

DOM BANKOWY i KANTOR WYMIANY

SOKAL i LILJEN

we Lwowie, ul. Hetmańska l. 12 (Hotel Langa)

kupuje i sprzedaje listy zastawne Towarzystwa kredytowego, gal. banku krajowego, jakoteż obligacye komunalne banku krajowego i obligacye gal. pożyczki krajowej i wszelkie renty, losy rządowe i prywatne, akcye kolejowe i obligacye pierwszeństwa, również wszelkie monety krajowe i zagraniczne pod najkorzystniejszemi warunkami.

Przyjmuje za mierną prowizyą wszelkie zlecenia wchodzące w zakres interesów bankowych. 46—52

Zlecenia z prowincyi wykonuje jak najrychlej.

Ferdynand Güttler

Magazyn towarów modnych

Lwów, ul. Halica l. 20.

Towar doborowy	Boa gazowa	Aplikacye
Wielki wybór	Szale jedwabne	Pasmanterye
Ceny niskie	Żaboty	Paski
	Weloniki	Gorsety.

46—52

Wydawca K. Kołakowski. Odpowiedzialny redaktor: Wład. Strzelecki.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.